

## CÓRKA

Pamięci Zofii Siwińskiej (1913–1994)

*„Mimo wszystko, życie się dzisiaj nie kończy.”*

*Margaret Mitchell „Przeminęło z wiatrem”*

Już wiem, że jesteś córką.

Moja babcia urodziła moją matkę, a moja matka urodziła mnie. Mama umarła wcześniej; we śnie. Wychowywała mnie babcia, która była kinomaniaczką. Wpłynęło to na jej umiejętności edukacyjne: pomimo, że panna Scarlett O’Hara (Vivien Leigh prowadzona przez Victora Fleminga) była „biblijnie” zła, zaś Ingrid Bergman jako Joanna d’Arc w filmowej hagiografii absolutnie święta, to i tak właśnie „Przeminęło z wiatrem” stało się ulubionym filmem babki. Ktoś mógłby uznać ten gust za dziwaczny — ja nie (choć gdy jeszcze bawiłam się lalkami, to superprodukcji Selznicka bliżej było do mezozoicznego triasu niż okresu, w którym przyszło mi żyć). Ten gust ukształtował mój wewnętrzny świat. Postanowiłam zostać aktorką. Taśma celuloidowa przetrwa podobno dwieście lat i o te dwieście lat nieśmiertelności mi chodziło.

Postanowiłam też, że gdybym w przyszłości miała córkę, to nazwałabym ją Melanią (od kruchej Melanii Hamilton). Melanią, bo to ja miałabym pozostać egoistyczną i zmysłową Scarlett...

Jednak urodziłam się w złych czasach. Kiedy piszę te słowa, aktorki nie są już potrzebne; nie ma też matek.

Urosł mi brzuch. To od hormonów, które codziennie aplikowałam sobie małą strzykawką, cienką jak jednorazowy długopis.

Mój brzuch spoczywa teraz ukryty pod zielonym prześcieradłem i od czasu do czasu zaburczy cichutko. Przed zabiegiem nie wolno mi było jeść i proszę bardzo! Na początek — źle pojęty wstyd. Wstyd z innej epoki. Miły sanitariusz pomógł mi przejść na ruchomy stół, jakich używało się na porodówkach. Poklepał mnie po ramieniu i niespiesznie podłączył do monitorów. Już mnie mdliło, a miało być gorzej. Nie zgodziłam się na zabieg z miejscowym znieczuleniem. Żadna to przyjemność mieć świadomość, że właśnie wbijają ci trzydziestocentymetrową igłę w powłoki

brzusne. Nawet motyle usypia się eterem, nim przyszpilą je do korka... Przyszedł anestezjolog i odkręcił kranik przy kroplówce z usypiaczem. Gdzieś nad moją głową mignęło przeraźliwie jasne, antyseptyczne światło. Znajomego sanitariusza już nie było, przyszli za to jacyś inni, obcy. Zresztą i tak nikogo nie poznawałam przez maski na twarzach. Czułam, że anestezjolog staje przy moim wezglowiu, równocześnie pielęgniarka o piegopatym czole zakryła mi twarz kawałkiem płótna.

— To co? Połowimy sobie trochę? — powiedział męski głos, a potem nagle wszystko się skończyło. Ciemność. Gdzieś poza nią wydobyto z głodnego brzucha komórkę jajową. Nasienie anonimowego dawcy z Banku Spermy już czekało na swoją szansę. Coś się kończyło, ale czy coś się zaczynało?

Przebudziłam się w tak zwanej sali pozabiegowej. Głowę wypełniała wata, oczy — mgła. No i ten szum w uszach; to dlatego trochę trwało, nim zorientowałam się, że nie jestem sama. Rozkazałam powiekom, by się uniosły. Zadrzały niechętnie, ale okazały posłuszeństwo. Ciało wracało do mnie.

Inna pacjentka — zbierała się już do wyjścia. Poczula jakoś to moje spojrzenie na swoich plecach i obróciła się.

— Cześć. Zaraz przyjdzie jakaś piguła i zmierzy ci ciśnienie. Będziesz rzygać?

Krótko ścięta, wyglądała zupełnie jak nowozelandzka kuzynka, która kiedyś przyleciała na pogrzeb mojej matki. Rosła i wysportowana niczym autentyczna Spartanka. Szkoda byłoby zniszczyć ciężą takie ciało.

— Nie — powiedziałam.

— Co, „nie”? — uniosła brew w ewidentnie kokieteryjny sposób.

— Nie będę rzygać.

— Aha... — Miała na sobie białe majtki oraz podkoszulek z historycznym zdjęciem Eve Ensler. Na łóżku czekała płócienna spódnica i wojskowy plecak.

— Pomyśleć, że kiedy facet chce sobie kupić dziecko, to idzie do pokoju ze stolikiem pełnym świerszczyków, patrzy na lakierowane cipki i wali gruchę. Nie ma sprawiedliwości!

— Ale nie może urodzić.

— Fakt — roześmiała się. — Głupio by było.

— Jesteś dawczynią czy...

— Będę Rodzicem — odpowiedziała. — Trochę to kosztuje, ale warto. Losowałyśmy z Elzą i wypadło na mnie, że zamienię się w „kure”. Zresztą jestem zdrowsza.

„Czy Elza ją kocha?“, przyszło mi nagle do głowy. Nieznajoma była już ubrana i machała do mnie od progu. Odpowiedziałam jej tak samo.

Zabawne, ale najdłużej ze wszystkich porządków starego świata trzymała się homofobia. W końcu — pod presją światowego bankructwa i bezpłodności — musiała spasować. To dobrze; tyle, że wyglądało to już na ostatnie rozdanie. Rodzicem mógł zostać każdy: samotny lub samotna. Pary hetero i homoseksualne. Dawało to nadzieję. Tyle, że nadzieja ta była bardzo intymna w świecie, gdzie całość pochłonął globalizm. Wszyscy siedzieliśmy w brzuchu Wieloryba. Generacja Jonasy. Czy tak jak Jonasz łaknęliśmy śmierci? Czy Bóg da nam lekcję miłosierdzia i przebaczenia?

Rudzi bliźniacy Tarletonowie właśnie przynieśli nowinę, że ukochany Ashley zaręczył się z Melą Hamilton. Zaraz trzeba się komuś pożalić, trzeba komuś to nieszczęście wykrzyzczeć! Ojcu! Scarlett O’Hara przytrzymując dłońmi białą, koronkową sukienkę, odbiega od alabastrowego frontu rodzinnej posiadłości. Ciemne loki porywa wiatr, zielone oczy gorzeją, czerwone usta zaciskają się. Scarlett O’Hara biegnie, bo jest początek filmu. I będzie tak biec jeszcze przez następne dwieście lat. Mnie nigdy nic takiego nie spotka: ani teraz, ani za tysiące dni.

Zaczął się od dość płynnego przejścia z tradycyjnej taśmy filmowej do cyfrowych nagrań obrazu. Wkrótce, zamiast iść do kina, całkiem legalnie można było przez Sieć ściągnąć sobie plik premierowego filmu do podręcznego laptopa. Kina jednak jeszcze nie padły i nie w tym kryła się zła rzecz. Gwoździem do późniejszej filmowej trumny były możliwości wizualne oraz idąca z nimi w parze interaktywność fabuły. Zaskakujące pokusy!

No i pojawiły się, prawie równocześnie: alternatywne zakończenia dla widzów i elektroniczne klony zmarłych Gwiazd. Pierwsza była M.M., ożywiona do jakiejś uwodzicielskiej reklamy dzinsów. Później Humphrey Bogart, Clark Gable, Vivien Leigh (Ingrid Bergman — nie). Od zachwalania coca — coli i funkcjonalności guzików w męskich rozporkach był już tylko krok do cyfrowych remake’ów klasyki zapamiętanej z kanału TCM. No i można było samemu wybierać, czy Scarlett O’Hara zostanie sama, czy też na samym początku wyjdzie za niejakiego Ashleya. Te elektroniczne reinkarnacje miały wiele wspólnego z internetowymi botami. Potrafiły błyskotliwie (jak i dziwacznie) odpowiadać na pytania dziennikarzy i „sprytnie” prowadzić zaprogramowane rozmowy, dając wszystkim namiastkę sztucznej inteligencji. Nikt oczywiście nie posunął się do tego, żeby nazywać je czymkolwiek innym niż programami. Zwykle kultowe śmierci sławnych oryginałów nie pozwalały o tym zapomnieć. Jednak trend chwycił i chciano więcej. Stworzono

aktorów w pełni wygenerowanych komputerowo, bez pierwowzoru, jednak to nie wypaliło. Można powiedzieć, że nie dawało należytego złudzenia; żadnego posmaku hazardowej gry. Chciano bogów ekranu, ale wcielonych w ludzkie dokonania i życiorysy. Bogów żywych, bez grobów na hollywoodzkich cmentarzach. Właśnie owo „życie” odróżniało botów od *awatarów*. Te zstąpiły na ziemię, by wypierać komediantów, którzy musieli pocić się i oddychać. Były nieskazitelne. Nieskazitelne i piękne, jak może być tylko wampir żerujący na śmiertelnikach. W dodatku niosły Tajemnicę, którą usta milionów fanów podawały w rytmie: Czy? Czy? Czy?...

Wielki Biznes Filmowy potrafił strzec odpowiedzi jak stugłowy smok. Elektroniczne pieniądze przecinały prawdziwym aktorom (to znaczy uzależnionym od antyperspirantów) medialne struny głosowe tak, że mogli żyć już tylko na obrzeżach legalnego świata, niczym średniowieczni żebracy.

„Scarlett, chcesz tylko Ashleya i nie będziesz go nigdy miała. A gdyby nawet Ashley chciał się z tobą ożenić, niechętnie bym się na to zgodził, mimo wielkiej przyjaźni, jaka mnie łączy z Janem Wilkesem. Chcę, aby moja córka była szczęśliwa, a z nim szczęśliwa nie byłabyś nigdy. Małżeństwo jest tylko wtedy szczęśliwe, kiedy łączą się ze sobą ludzie podobni.”

Wacik, który jednym palcem przyciskałam do zgięcia drugiej ręki, powoli czerwieniał. Pielęgniarka nalepiła etykiety „Lorena Jabłońska” na fiolki z krwią i wsadziła je do przenośnej lodówki. Dwoma zdecydowanymi ruchami ściągnęła jednorazowe rękawiczki i przeistoczyła się w sięgającą po papiery z biurka urzędniczkę. Miała funkcjonalnego koka, dwudziestoletnią twarz i pachniała Kenzo. Próbowałam wstać z lekarskiej kozetki, ale dała mi ruch ręką, że to niepotrzebne.

— Proszę mocniej nacisnąć — powiedziała. — Chciałam panią za to — zrobiła nieokreślony ruch dłonią — przeprosić. Ktoś nie dopilnował i wziął za mało próbek do bazy danych.

— Nic się nie stało — na przemian napinałam i rozluźniałam mięśnie ud. Zastanawiałam się, czy to zauważy.

Zaszeleścił papier. Miała na palcu pierścionek zaręczynowy. Bardzo ładny.

— Dostaliśmy z banku potwierdzenie przelewu pierwszej transzy.

— Wiem, zapłaciłam.

— Teraz i my to wiemy... Od nas pani też dostanie kwit.

— To świetnie.

— Tyle biurokracji — roześmiała się perliście. Brzmiała jak trącony słomką kryształ. Musiała być taka młoda, na jaką wyglądała. Nie potrafiło jeszcze naprawiać skorodowanych czasem strun głosowych. Była młodsza ode mnie. Poczułam zazdrość.

Spróbowałam się podnieść. Udała, że ją to nie interesuje. To była w końcu moja sprawa.

— A skoro jesteśmy przy papierkach... Widzę po luce w formularzu, że nie zaznaczyła pani jeszcze pożądanej płci. Więc chłopiec czy dziewczynka?

Rezolucja ONZ zakazująca tymi czy innymi środkami manipulowania płcią oczekiwanego dziecka, od dawna leżała w grobie. Prenatalna możliwość decyzji o kształcie rodziny była zbyt dochodowa, by inżynieria medyczna z niej zrezygnowała. Nie musiała zresztą tego robić, bo zdołała wykształcić silne lobby. Zresztą nie nastąpiła spodziewana katastrofa demograficzna. Ubogich i średnio zamożnych, którzy w każdej rzeczywistości stanowili przeważającą część populacji, i tak nie było stać na wczesne planowanie płci dziecka. WASP-y gremialnie decydowali, by pierwotne dziecko było chłopcem; po nim dopiero przychodziła kolej na dziewczynkę — jako „prezent dla żony”. Religijni ortodoksi z patriarchalnych i walczących kultur żądali co prawda płodzenia samych chłopców, ale światową demografię uratowały Wielkie Chiny. Stare komunistyczne przyzwolenie na posiadanie tylko jednego dziecka spowodowało, że już pod koniec XX wieku większość zdiagnozowanych ciąż żeńskich była usuwana. Parędziesiąt lat później powstała armia samotnych mężczyzn w różnym wieku, którzy gotowi byli płacić swatom elektronicznym złotem za Małą Chińską Narzeczoną. Gotowi byli też trochę poczekać...

— Lorenzo?

Odeszłam od własnych myśli i podniosłam głowę.

— Musisz się dzisiaj zdecydować.

— Wołałabym... Wołałabym, żeby to była niespodzianka. Nieznacznie skrzywiła usta:

— W sumie jesteśmy tu po to, żeby unikać niespodzianek. Milczałam.

— Aborcję na życzenie przeprowadzamy do dwunastego tygodnia. Muszę też uprzedzić, że płód jest niszczone automatycznie, jeśli nie otrzymamy kolejnej raty w terminie. Ale oczywiście o tym wiesz — czytałaś umowę....

Nigdy nie było żadnego mężczyzny. To znaczy mężczyzny, którego bym pokochała. Czytałam listy Ingrid Bergman: *„Mój kochanku! Moje kochanie! Moje wszystko na tym świecie. Jakże Cię uwielbiam! Mogłabym eksplodować od tego. Jestem Twoja na każdy sposób. Jestem szczęśliwa*

*tylko gdy jestem blisko Ciebie. Kocham Cię na wieczność. Twoja na zawsze* „. Po prawdzie ograniczałam się tylko do czytania... Nie potrafiłabym się tak w życiu otworzyć, czy może odsłonić. W życiu, bo w filmie to zupełnie coś innego. Film jest inny, nieludzki, niczym z innej planety. Zbyt doskonały, czyli zbyt jednoznaczny. Jak wielka klasyczna uroda kobiety. Same linie proste, żadnych skosów. Krystaliczne proporcje, perłowy materiał. Alabaster albo biały marmur. Dodam, że każdy film — czy Renoira, Cukora, Polańskiego, czy to, co ostatnio nazywa się *nowym filmem* — jest tak samo obcy.

Kiedyś (stałam wtedy na granicy dziecka, które nieodwołalnie przeistacza się w kobietę) i tylko raz poznałam starszego reżysera. Był to plan wielkiego europejskiego przedsięwzięcia z dawnych czasów. Wielka ekipa, wielkie gwiazdy, małe dziewczynki w małych rolach... Poczułam wtedy do tego mężczyzny coś, co mogłoby być miłością, gdyby okoliczności były bardziej litościwe. Ale nie były, w sumie tylko głupiec może wymagać czegoś takiego. Jednak coś się iskrzyło. Widzę to najpełniej, kiedy oglądam tamten film. Narzuca się sposób, w jaki reżyser ustawiał mnie w kadrze. Wyglądałam jak cukrowany łabędź, godny pożądania za dumę czy miłości za wiotkość.

Łabędź z cukru, nawet gdy stoi na stole z boku, i tak odbiera wszystkim potrawom smak.

Tylko raz byłam łabędziem. Potem to się rozmyło. Mała strata. Do cukrowanego łabędzia przypisane jest oczekiwanie i brak spełnienia. Kiedy wreszcie ugryzie się jego kawałek, człowiek odkrywa, że jest niesmaczny. Zwykły cukier zlepiony w niespodziewaną formę. Zabawka dla dzieci. I tamten reżyser o tym wiedział.

Gigantyczny plaster miodu — takie było moje pierwsze skojarzenie, kiedy zobaczyłam je po raz pierwszy. Sztuczne macice; syntetyczne łożyska.

Ulem była hala, która proporcjami przypominała kościoły gotyckie, ale zdecydowanie w mniejszym rozmiarze. Raczej takie, które amerykańscy nuworysze budowali w XIX wieku po drugiej stronie oceanu. Pustka i światło.

Jak przypuszczałam, gdzieś za tym miodnym plastrem musi znajdować się tabernakulum — system podtrzymujący życie tych wszystkich tworów. Tak wiele małych żyć. Kolosalność przedsięwzięcia sugerowała ilość kapłanów — lekarzy — inżynierów (głównie embriologów i genetyków; ale jakiś ginekolog — położnik też tu się trafia) snujących się z kąta w kąt. Wjeżdżających windami na piętro do tak zwanego „chóru” oraz znikających za pancernymi drzwiami, które kryły rzeczy niedostępne dla potencjalnego Rodzica. Zastanawiałam się, czy

budynek *Prometheus Corporation* jest orientowany? No i jego nazwa. To powinno brzmieć jakoś inaczej — po aramejsku, hebrajsku albo chociaż po łacinie. Z drugiej strony, czy United States of America wciąż nie były Nowym Rzymem? Ano były. Cały świat prawie przejął zwyczaje tego Rzymu.

Zastanawiałam się nad tym, czy dorobią się swoich dusz te maleństwa zagnieżdżone w wyściółce sztucznych macic? Ci pasażerowie z innego świata, ukołysani w barwach karminu i fioletu na obrzeżach trwania? Wbrew temu co propagowali działacze z ruchu Pro-Life, w prawdziwej macicy jest ciemno. Nie ma żadnego światła. Płodowi to nie przeszkadza. Wprowadzenie barw na propagandowych plakatach było kosmetyką dla tych, którzy urodzili się wcześniej. Podobnie jest teraz, gdy karminowe światło rozlewa się po sztucznych macicach, skonstruowanych niczym supernowoczesne akwaria. Każdy Rodzic może zajrzeć i zobaczyć kolejne stadia ewolucji swojej „rybki”. Nazywa się to „wizytami”; mają one tworzyć „naturalną więź” albo przynajmniej dawać czystą informację o spożytkowaniu zainwestowanych pieniędzy. Rezydenci plastra miodu wyglądają jak fasolki, obrane ze skóry króliki, kotki bez sierści.

Konstrukcja jest wielopoziomowa; do wyżej położonych macierzyńskich kapsuł docierają małe windy pneumatyczne. Moja kwatera jest na poziomie O (na górze szklanego bąbla mieni się napis „Lorena Jabłońska”; niżej pozostawiono miejsce na identyfikację płci płodu). To dobrze, bo cierpię na lęk wysokości. Kiedy byłam tu po raz pierwszy, westchnęłam ze szczęścia, a potem rozejrzałam się jeszcze raz i jeszcze, i znowu. W końcu to, co tu się działo nie było byle czym: nadzieją i wyróżnieniem jednocześnie. Zaskakująca społeczna efemeryda, bowiem „przedtem” (to znaczy przed syntetycznymi łóżyskami) nadzieja zwykle dotyczyła biednych i głupich, czyli tych, których wyróżnienia omijają. Zapytacie, jak to się stało, że kobiety i mężczyźni stracili płodność, a naturalne cięższe usychały i karłowaciały niczym dotknięte nieopisaną plagą egipską? Odpowiedź jest prosta, i banalna — zanieczyszczenie powietrza. Jedno pomieszało się z drugim, dodano do tego opar trzeciego, jakiś wyciek i bum! Nie oznacza to, że ludzie ze slumsów nie mają dzieci, bo nie stać ich na usługi *Prometheusa*. Czasem rodzą, czasem nie. Czasem wypada w kościach jedyńka, czasem szóstka — ale dla nas, Rodziców, to za mało. Nie gra się z Diabłem o zdrowe dziecko.

Zdrowe, ale najprawdopodobniej bezpłodne. Z tym dziedzicznym czynnikiem jeszcze sobie nie poradzono. O oczyszczeniu planety nie może być mowy.

Reżyser Andrzej Żuławski wspominając Viv Leigh napisał, że wielkie aktorki muszą być ofiarami. „*Tylko ofiary tak podobają się na ekranie. Tylko w ofiarach, w sentymentalnie ułomnych, w pokrzywdzonych nawet wtedy, gdy błyszczące i pozornie krzywdzące, widownia widzi lepsze, piękniejsze, bardziej emocjonalne od siebie*”.

Dzisiaj to stwierdzenie już nie jest prawdą. Kłamstwo dotyczy widowni. Mój były agent zwykł twierdzić, że najlepsze aktorki to *awatary*. Nie było znaków ostrzegawczych. Nie dostrzegłam ich. Byłam ślepa. Rozpoczynający ósmy krzyżyk Bernie Lipszyc zaprosił mnie do biura. Poszłam, wcześniej perfumując włosy i dekolt „White” Armaniego. Bernie czekał na mnie, kołysząc się monotonnie w gargantuicznym, skórzanym fotelu. Zero uśmiechu. Wyglądał jak starzec w grocie; jak nawiedzony asceta.

— Usiądź — powiedział do mnie.

— Ekran — powiedział do elektronicznego asystenta biura. Niezapowiedziany film ruszył. Najpierw fałszywa rozbiegówka.

Spłoszone cyfry przebiegły mi przed oczami, a potem zobaczyłam kobietę. Nie była do mnie podobna, a przecież animatorzy komputerowi nie zmienili ani krzty siatki twarzy, figury — więc co to było, ta inność?

„*Star capacity*”, zdolność do bycia gwiazdą.

Nikt nie pokusił się o to, żeby przesłać mi scenariusz filmu, w którym grał mój *awatar*.

Ekran zaśnieżył.

— Przykro mi — rzekł Bernie.

— Za ile mnie sprzedałeś? Chwilę milczał.

— Lorena, pomyśl o gwiazdach niemego kina. Kiedy pojawił się film dźwiękowy, niektóre nadal świetnie sobie radziły.

Pokręciłam głową:

— Bernie... Spójrz na mnie.

Spojrzał i zobaczył. Żadna sytuacja nie jest adekwatna z moją.

— Nie masz przecież finansowych zobowiązań? Żadnych rat, prawda? Wiem, bałaś się tego, ale poradzisz sobie.

— Bałam się, że zostanę sama — powiedziałam po przekroczeniu progu — limbusa.



Już dawno temu udowodniono, że płód ludzki jest niezwykle muzykalny. Z tego też powodu wnętrza sztucznych macic rozbrzmiewały muzyką — różnorodną, w zależności od upodobań. Generalnie, tak płody jak i rodzice, cenili nad wyraz Mozarta i Beethovena; wszystko to zmiksowane z dźwiękiem bijącego serca. Trafiali się koneserzy przepadający za „Wielkimi Matematykami”: Bachem czy Vivaldim. Muzyka romantyczna z kolei średnio się przyjęła. Słuchano Wagnera. Dalej standardy rocka i popu. Rodzice wybierali The Beatles na równi z The Doors. Madonnę od A do Z (umarła w zeszłym roku, w studiu nagrań). Britney Spears i Lemoniad’s Cow — boy’s. Hagar i Dinę. Schuberta czy Michaela Jacksona nie słyszało się w ogóle — unikano ich ze względu na życiorysy.

Niemalże przyłożyłam usta do frontu kapsuły, w której wciąż jeszcze trwała moja córeczka. „*Aaa, kotki dwa. Szare, bure, szare, bure obydwu* „. Zanuciłam jej kołysankę, którą przed wiekiem dwóch gwiazdorów śpiewało zagubionej panience Gross. Mój głos podnosił się i łamał, by przejść w skrzekliwy szept. Miałam w nosie to, że odgradza nas dźwiękoszczelna szyba, że córka mnie nie usłyszy. Nie była pora odwiedzin. Lekarze — inżynierowie też jakby nieco ginęli z widoku — tak sprawnie i szybko chowali się przed moim wzrokiem. Korzystałam z przywileju, choć wydawało się, że sprzątacze tego nie rozumie. Szedł od wewnętrznych drzwi, machając tu i tam jakimś skomplikowanym mopem. Chłonne gąbki przytwierdzone do plastikowego kija rozłaziły się jak macki ośmiornicy. Sprzątacze miał rudoblond włosy i nos jak skocznia narciarska. Udawałam, że nie jestem zła, kiedy postawił szerokie, dwuprzegrodowe wiadro tuż przy mojej nodze. Milczeliśmy, ale on przerwał pracę.

— Jakby ją pani nazwała?

— Anastasis.\*

— Przepraszam, nie dosłyszałem... — był zażenowany, a może tylko tak się wydawało. Tak wiele rzeczy się wydaje.

— Anastazja.

— Ach, Nastka — stwierdził po swoim, skubiąc ucho.

I odszedł. Potem odeszliśmy my; każda na swój sposób.

„Ach śpij kochanie.

---

\* *Powstanie z martwych*

Jeśli gwiazdkę z nieba chcesz — dostaniesz. Wszystkie dzieci, nawet złe, pogrążone są we śnie, a ty jedna tylko nie...”